

Święci i wojownicy

Poranna mgła trzymała się jeszcze wysoko i ze strażnicy nie widać było nic poza białą rozlaną wśród mokradeł, zlewającą się z ciemnością spowitego w mroku lasu. Czerń i biel niby różne, ale tutaj tak samo zdradliwe, wracały do jednej, pierwotnej masy, z której wyszły na początku czasów. Można było odnieść wrażenie, że jest się na krańcu świata, gdzie początek i koniec oznaczają to samo, gdzie czas nie płynie a każdy krok poza bezpieczną bramę grodu oznacza wejście w świat, jakiego nie znał żaden bestiariusz.

Dwóch knechtów nerwowo kręciło się po strażnicy i tupalo nogami dla rozgrzania zmarzniętych ciał. Niebo zaczęło już się rozjaśniać na wschodzie i obydwaj czekali na zmianę warty, kiedy usłyszeli skrzypienie drewnianych schodów. Już liczyli na zejście z posterunku, kiedy krocząca postać wtoczyła się na miejsce, gdzie stali na warcie. Słyszeli o jego porannych spacerach, widywali z daleka jego potężną sylwetkę ale dopiero teraz z bliska ujrzeli wiecznie pochmurne oblicze i błyskające jak para złowrogich sztyletów oczy ukryte na twarzy porośniętej gęstą szczecina. Ponoć jego bujny zarost skrywał więcej blizn niż wszyscy, których kiedykolwiek minął na swej drodze. A za każdą blizną kryła się historia, od wybrzeży Lewantu aż po ten odrealniony świat, której nikt nie był w stanie z niego wyciągnąć. Tajemnica, postrach i szacunek – te trzy jego cechy wpływały na to, że Zakon posiadał w nim cenny nabytek, którego nie dało się w żaden sposób na liczbę ludzi, którzy mogliby go zastąpić.

Minął knechtów bez słowa, prawie nie zwracając na nich uwagi. Wsparł się rękoma o palisadę i chłodnym wzrokiem, który niemal zamienił unoszącą się nad ziemią mgłę w szron, ogarnął świat, jaki roztaczał się przed nim.

Dzika, nieprzebyta głusza. Niemal koniec świata, a dla niego dopiero początek misji. Gdzieś tam, w mroku puszczy, która rosła majestatycznie za wijącą się powoli i szeroko rozlewającą się rzeką, gdzieś wśród wilgotnych polan i zdradliwych bagien czekał cel jego posłannictwa. Najświętsza Relikwia. Nadzieja chrześcijaństwa i młot na pogan. Żelazna różga w ręku papieża i miecz lojalności cesarza. Siła i potęga Zakonu. Tym mogła się stać, jeżeli on, Hermann von Balk, mistrz zakonu domu niemieckiego w ziemi pruskiej, na której jeszcze nawet nie postawił stopy, wywiąże się ze swojego zadania i odnajdzie to, co teraz bezczęścili swymi rękoma niewierni. A gdyby tak...

Gdyby tak nikomu jej nie oddawać? Stać się najpotężniejszym z ludzi i rządzić według prawa, jakie samemu się wyznaczy? Tak wielu pragnęło ją zdobyć, a tylko on mógł im to przynieść.

Zamknął oczy i potrząsnął głową.

Wybacz, Panie, albowiem zgrzeszyłem pychą.

Mistrz dał zbyt jasno do zrozumienia, kto tego nie może dostać. Ani papież, ani cesarz. Żaden z nich nie może dostać aż takiej przewagi. Ten głupiec Konrad nawet nie był brany pod uwagę. W jego ręku Relikwia mogła stać się zbyt niebezpieczna. W oczach von Balka był tępakiem i chciał tylko korony królestwa rozbitego na dzielnice. Kiedy widział go po raz ostatni w jego stołecznym zamku nie poczuł do niego ani krzty szacunku, a tym bardziej nie widział w nim swojego sojusznika. A zwłaszcza kogoś, kto ma dać wsparcie w tak delikatnej misji, tak ważnej... tak świętej. Grunt, że oddał zakonnikom ten wąski pas ziemi nad rzeką i gród strzegący przeprawy na jej drugą stronę.

Von Balk zmrużył oczy, gdyż słoneczny blask wznosił się coraz wyżej nad korony drzew. Pobudzone w ten sposób ptactwo zaczęło swą radosną kanonadę dźwięków, zrywając się powoli do pierwszych lotów, a za nim inne stworzenia ukryte gdzieś w gęstwinie również dawały znaki życia, które zlewały się w jeden głos dziczy. Nieodległy szum płynącej wody skrytej jeszcze pod resztkami mgły nadawał otwierającej się przed nim przestrzeni jeszcze więcej niesamowitości i tajemnicy.

Ukryte wśród zarośli ptactwo hałasowało coraz głośniej. Część już wyruszyła na żer, niektóre dopiero zaczęły się nawoływać.

Vogelsang... Przemknęło mu przez myśl, co spowodowało, że nawet się uśmiechnął. Śpiew ptaków – nie było lepszej nazwy dla tego miejsca. Pierwsza strażnica Zakonu i początkowy posterunek ich świętej misji, która zaprowadzi mnichów-wojowników ku wiecznej chwale. Wszystko pod warunkiem, że tych siedmiu spełni swe zadanie. Może było ich za mało, aby poprowadzić większe działania, ale dość, aby osiągnąć przyczółek. Albo przeprowadzić zwiad. Tak rozumiał to książę Konrad. Tak rozumieli to knechtowie nadani do służby i wszyscy ci, którzy pojawienie się rycerzy z Zakonu Maryi Panny Domu Niemieckiego darzyli jakimkolwiek zainteresowaniem.

Ale nie Herman von Balk, który instrukcje sam odebrał od Wielkiego Mistrza. Siedmiu braci zakonnych wystarczyło, aby uśpić zainteresowanie sojuszników wielkością ich misji, ale wystarczająco, aby spokojnie i bez szumu przeczesać interesujący ich obszar w poszukiwaniu cennego artefaktu.

Herman wciągnął głęboko powietrze.

Tak, Najświętsza Relikwia.

Dopiero w rękach Zakonu miała sens. Nie mogła należeć do nikogo innego. Trafiła w to zapomniane przez wszystkich miejsce, na skraj cywilizacji, aby czekać właśnie na nich. Dzięki niej zbudują swoją potęgę i staną się światłem dla całego świata. Wyprowadzą go z wieku ciemności i wprowadzą w erę wiecznego pokoju, która naznaczona będzie czarnym krzyżem. Oznaczać to będzie skrucę, lojalność i posłuszeństwo. A przede wszystkim wszechwładne panowanie Zakonu.

Ze świstem zaciągnął się rześkim powietrzem poranka. Nagle posłyszał za sobą kroki i spoglądając przez ramię dojrzał nadchodzącą zmianę warty. Dwóch nowych knechtów stanęło równie zaskoczonych jak tamci poprzedni, których mistrz wystraszył jeszcze przed świtem. Tym razem jednak to on zszedł, kierując się na dół, na plac wewnętrzny grodu, śląc jedynie krótkie pozdrowienie strażnikom. Nie spieszył się, ale wiedział, że jest już oczekiwany w innym miejscu.

Nie było sensu czekać, czas ruszać. Według rozkazów, które sam wydał minionego wieczoru o świcie miał ruszyć z resztą braci na pierwszy rajd po okolicy. Czy miał to być zwiad, czy czeka ich potyczka z poganami? Co niebiosa ześlą, oni to przyjmą na swe miecze. A jak się poszczęści może i nawet trafią na ślad swego skarbu.

Na placu czekali na niego współbracia, już w siodłach i gotowi do wymarszu. Konie prychały spokojnie, a bracia zakonna ze skupionymi twarzami czekała posłusznie na rozkaz mistrza. Herman von Balk nic nie mówiąc dosiadł konia i dopiero, gdy uczynił nad swymi towarzyszami znak krzyża rzekł dostojnie:

- Christ ist erstanden!

- Kyrie elejson! – odparli głośno i przeciągle krzyżacy zakonnicy i gdy tylko ich wódz zapiął hełm wyjechali za nim równo poza bramę grodu.

Jadąc stępą kierowali się ku rzece, która o tej porze roku rozlewała się szeroko i spokojnie tworząc liczne nadbrzeżne moczary. Mimo to grupa siedmiu jeźdźców pewnie parła naprzód, zgodnie z trasą wyznaczoną przez lokalnych przewodników, która wiodła ich wprost do brodu. Póki nie dotarli na brzeg, woda ledwie sięgała końskich pęcin lecz gdy osiągnęli rzekę sięgnął im kolan. Posłuszne wierzchowce jednak pruły kałubami swych zwierzęcych piersi taflę granicznej rzeki dając się prowadzić swym jeźdźcom ku nieznannej krainie.

Ta otwierała się przed nimi powoli i z uporem. Gąszcz nadbrzeżnych zarośli nie ułatwiał przeprawy, a w zasięgu wzroku nie dostrzegli nawet prostej ścieżyny, nie licząc tras wydeptanych w zaroślach przez zwierzęta. Widać te diabły pruskie przeprawiając się na drugą stronę obierały trakty wytyczone przez przyrodę i kipiące w niej życie. Jak jakieś dziki czy rysie, które snują się po ostępach. Jak dzikie zwierzęta... I w ich rękach jest Relikwia.

Herman von Balk aż wzdrygnął się z obrzydzenia. Chęć spełnienia misji chciała gnać mu przed siebie, kazała spać konia i ruszyć galopem przez knieje ku wiecznej chwale.

Lecz doświadczenie rycerza czarnego krzyża rezolutnie zaciskało wargi. Dość napatrzył się na wschodzie na brawurowych młodziaków i porywczych gołowąsów, którzy dla sławy i pychy rzucali się na szeregi niewiernych zagrażając sobie i innym rycerzom chrystusowym. Helfen und heilen... Pomagać i leczyć. Tak brzmiała dewiza ich wspólnoty. A rzucając się w niepoznaną i nieposkromioną dzicz von Balk nie pomógłby zakonowi, ani nie wyleczyłby wszystkich ropiejących wrzodów wspólnoty wiernych – to miała uczynić Najświętsza Relikwia. Ale dopiero w jego rękach.

To znaczy w rękach Zakonu...

Tak posuwali się powoli do przodu w milczeniu, każdy ze swą intencją, której żaden na głos nie odważył się wypowiedzieć. Minęli jednak wreszcie najgęstsze zarośla i wyjechali w las rzadszy, zdający się nawet nie pocięty ścieżkami, których jednak niewprawne oko od razu nie dostrzegało. Nie umknęły jednak uwagi doświadczonych rycerzy. Jedno spojrzenie von Balka wystarczyło, aby każdy zrozumiał, że teraz zależy którą drogę obiorą, ta ich zaprowadzi albo ku chwale, albo ku zgubie.

Wtem świst powietrza przeciął ciszę, a za nim raz za razem kolejne niewidzialne smagnięcia pruły leśny spokój. Nagle mnóstwo złośliwych ostrzy mknęło ku strwożonym braciom, strzały padały wśród nich gęsto, raniły wierzchowce i odbijały od pancerzy. Herman

von Balk jednym okiem dostrzegł cienie przemykające wśród drzew. W mgnieniu oka wiedział, co robić, bo wiedział, kim jest i co warci są ludzie, którym teraz przewodzi. Nawet nie pomyślał o odwrocie.

- Gott will das! – zakrzyknął i nie dając żadnych innych wskazówek jak wichur popędził między drzewa na czele klinu uformowanego z jego towarzyszy. Żaden nie pomyślał o ucieczce. Z zapalem nastawili swe ostrza i ku przerażeniu zjaw, które nadal słały ku nim swe strzały, pędzili niepokromieni jak taran z okrzykiem niosącym się jak grzmot po zielonej gęstwinie.

Grupka zbrojnych Prusów, która natknęła się na zbrojny zwiad krzyżacki szybko pożałowała zwrócenia na siebie uwagi. Nim zmiarkowali jakie nieszczęście pędzi ku nim pod postacią białych rycerzy, którzy jak ponure demony pruły na swych wierzchowcach leśne poszycie, było już dla nich za późno. Konni wojownicy wpadli w nich jak chart w zające, zgrabnie omijając drzewa i na zawsze łącząc wielu z pruskich wojowników z rodzinną ziemią.

Herman zaś czuł, że tryumfuje. Pierwsza walka na tej nieprzyjaznej ziemi, która bez wysiłku okazała się zwycięska! Okazała się... Lecz!

Do stu diabłów, którzy nasłali ten piekielny oddział swych najgłupszych demonów! Gdzież się oni podziiali?!

Zapędzając się za pieszymi wojownikami zapamiętali w bojowym nastroju rycerze pędzili przed siebie, tratując szeregi nieprzyjaciela, dopóki ten nie zwiódł ich w zarośla, które sprawiły im taką udrękę podczas przeprawy, po czym rozmył się jak poranna mgła. Jak upiorne widziadło, przekłeta zjawa nękająca pobożne dusze szukające ukojenia. Choć gdzieś niósł się szmer, jęki i ciche nawoływania, żaden z braci zakonnych nie mógł stwierdzić z której strony nadciągają, czy może ze wszystkich na raz. Otaczająca głusza tym bardziej zaczęła przytłaczać swoim rozmiarem, głosami dzikiej natury i setkami innych zjawisk tak bardzo przywołujących wszystkie piekielne poczwary.

Herman z oczami pełnymi gniewu odwrócił się do swych towarzyszy. Pot zalewał mu czoło i krwawił z kilku ran, choć one były niczym w porównaniu do furii, która kłuła go od środka niczym rozpalone żelazo. A kryła się za nim gorycz z powodu umykającego jak lis nieprzyjaciela.

- Moi bracia! – precedził wolno przez zęby, jednak postarał się opanować i nie okazywać tej części swej natury, którą skrywał czarny krzyż na płaszczu.

- A teraz żebyśmy dobrze się zrozumieli – rzekł spuszczać ze świstem powietrze jeszcze raz Herman von Balk. – Jesteśmy tu na siebie skazani na dobre i złe. Choć tylko zła możemy być pewni, który jak wilk czai się na owce... do rzeczy jednak. Musimy wiedzieć, po co tu jesteśmy, jaka jest nasza misja.

- Chwała naszego Ppana Boga Stworzyciela i Przenajświętszej Matki Jego – szepnął jeden z braci.

- I chwała zakonu, a przez nią zwycięstwo chrześcijaństwa – odparł von Balk. – Posłuchajcie... Mija już dwadzieścia lat, a może więcej, kiedy to Wenecjanie pospołu z Francuzami splądrowali i zniszczyli Constantynopolis, stolicę rzymskiego basileusa, cesarza na wschodzie. Przez trzy dni grabieży w ich ręce wpadły skarby, o których nawet im się śniło. Tony złota, srebra... marmury i spiżowe posągi...

Wśród braci zawrzało.

- Ale bili chrześcijan! – zakrzyknął jeden, a potem reszta jakby tylko czekała:

- Schizmatyków!

- Ale władza cesarska jest święta i nienaruszalna!

- Jeden jest cesarz święty niemiecki!

- A i dobrze łotrom!

- Nie wnikajcie w sprawy zbyt ciężkie na wasze umysły – warknął von Balk. – Co ważniejsze dla nas, wśród wielu dóbr ziemskich, które wpadły wtedy w nasze ręce...

- Jakże to?! Mistrzu... byłeś tam...

- Byłem i już służyłem Zakonowi. Jedna z pierwszych i najtrudniejszych misji... Tak tajna, że ukryta przed papieżem i weneckim dożą... Kiedy już było pewne, że wypadki potoczą niepomysłnie dla cesarstwa wschodu, otrzymałem jasny rozkaz. Wśród niepoliczonych skarbów, tysięcy kosztowności i bezcennych relikwii zgromadzonych w tamtejszych pałacach znaleźć jedną, tę najcenniejszą, najwspanialszą, cudowny Boży dar dla ludzkości...

- Najświętszą Relikwię...

Zapadła cisza. Po chwili von Balk podjął znów:

- Wareska straż basileusa padła w większości na murach stolicy pod naporem francuskiego rycerstwa. Jednak kilku uszło z życiem i na rozkaz swego imperatora wyniosło z jego pałacu to co miał najcenniejszego. W wrzawie bitwy wymknęli się w jedynym, znanym sobie kierunku. Na północ, do swych rodzinnych stron. Tam gdzie nikt ich nie będzie szukał, aż na Ultima Thule, na sam kraniec świata... traf jednak chciał, że władcy Rusi toczyli boje ze znanym nam księciem Konradem pograżając pogranicze w chaosie, więc zwykły szlak rzeczny jako droga na północ przestał być bezpieczny, a przede wszystkim nie dawał gwarancji spokoju. Waregowie zatem wybrali szlak lądem, na tyłach wojsk Konrada pragnąc jak najprędzej dostać się nad morze. I tak trafili na ziemie Prusów, gdzie ślad się urwał...

- To niemożliwe, aby nikt tego nie zauważył – mruknął jeden z braci.

- Owszem – odparł Herman von Balk pośród szmerów rycerzy zakonnych. – Nie uszli zwłaszcza mojej uwadze. Z Constantinopolis dotarłem za nimi aż tutaj, ale moja misja mogła trwać latami, bo gdy wkroczyłem w tutejsze lasy, zgubiłem ślad po Waregach. Na szczęście nas wszystkich Wielkim Mistrzem został von Salza, który jako jedyny wtedy rozumiał powagę mojego odkrycia. Tak więc moi bracia, oto jesteśmy u wrót ziemi pogan, którzy posiadli najcenniejszy skarb nasz, odkupienie dusz i drogę do potęgi Zakonu! Lecz wszystko wskazuje na to, że będziemy musieli tu zostać na dłużej... I jeden gród to za mało... Trzeba będzie przeniknąć przez całą pruską krainę, a jak będzie trzeba, to i ogołocić ją do ziemi!

Raz wypowiedziane słowo rychło okazało się ciałem. Szybko ziemia pruska poznała upór zakonnego ducha, który przez następne dziesięciolecia ogarnął ją całą swym płaszczem ze znakiem czarnego krzyża.